

Wspomnienia lubelskie

Po ukończeniu szkoły powszechnej w roku 1924 powstało pytanie: co dalej? Matka myślała przez jakiś czas o seminarium nauczycielskim, ale kierownik szkoły jej to wyperswadował. „Pani syn jest zdolny. Seminarium nie daje prawa wstępu na wyższe studia. Niech zdaje do czwartej gimnazjalnej”. Było to jeszcze przed reformą szkolną i po ukończeniu szkoły powszechnej trzeba było zdawać egzamin. Oczywiście, miało być gimnazjum klasyczne. W Lublinie były dwa takie gimnazja: państwowe imienia Staszica i prywatne, zwane „Szkolą Lubelską”. Okazało się jednak, że u Staszica nie ma miejsc, „Szkola Lubelska” zaś odpadała ze względu na wysokie wpisowe, na które mojej matki nie było stać. Emerytura zaborcza dla matki i dla mnie (siostra już wtedy pracowała) była zbyt szczupła. Więc volens nolens trzeba było zdawać do gimnazjum matematyczno-przyrodniczego imienia hetmana Jana Zamoyskiego, przy ulicy Ogrodowej 10.

Zanim omówię moje lata szkolne, które trwały zbyt długo, gdyż po drugim roku w siódmej klasie zostałem za różne sprawki z gimnazjum usunięty i przyjęty ponownie po pół roku, co znacznie przedłużyło studia aż do zdania matury, kilka słów o tym, jakżeśmy się po powrocie urządzili. W roku 1914, gdy matka zdecydowała się na wyjazd do Moskwy, zostawiła cenne meble na przechowanie u przyjaciela rodziny, księdza proboszcza na Kalinowszczyźnie, którego w roku 1922 już nie było wśród żywych. Meble zostały skonfiskowane przez okupacyjne władze austriackie i znajdowały się w różnych biurach, a gdy wybuchła niepodległość, przydzielane zostały polskim urzędnikom. Nie od razu można było sprawdzić, gdzie i w czyim ręku się znajdują. Ale powoli matka umiejscowiła prawie wszystkie. Jednak jak je odebrać po tylu latach? Ostatecznie doszło do porozumienia. Niektórzy nowi posiadacze zobowiązali się do stopniowego wypłacenia odpowiednich sum. Dyrektor Poczty i Telegrafów zaś, Dubownik, w którego posiadaniu znajdowało się umeblowanie salonu — kanapa, dwa fotele i krzesła, kryte aksamitem — zaproponował mojej siostrze niezłą posadę w Dyrekcji, mimo że jej wykształcenie skończyło się na czterech klasach rosyjskiego gimnazjum w Jejsku. Teraz już miała dziewiętnaście lat i trudno było myśleć o odrabianiu straconego czasu.

Wszystko razem, plus skromna emeryturka, pozwoliło nam związać koniec z końcem. Dwa pokoje zaś znaleźliśmy w rozległym mieszkaniu przyrodniej siostry matki, córki pierwszej żony mego dziadka, która wynajmowała wolne pokoje podróżnym, nie mogącym zainstalować się w stale przepełnionych w owym czasie hotelach lubelskich. Do kryzysu gospodarczego było jeszcze wtedy daleko. W kilka lat później siostra wyszła za mąż za wysokiego urzędnika Dyrekcji Poczty i Telegrafów, lwowianina węgierskiego pochodzenia. Jego pradziadek był we Lwowie austriackim urzędnikiem, ożenił się z Polką, spolszczył i w jego potomkach tylko nazwisko świadczyło o dawnej ojczyźnie. Otoczenie ciotki było skrajnie endeckie. Rodzina również.

Piłsudskiego nazywano pogardliwie Pólsuczkiem, a jednocześnie nienawidzono Ukraińców i przybyszów z Galicji. „Ciotka — mówił z goryczą jeden z moich kuzynów — wydała córkę za Galileusza”. Galicjanie, jak i piłsudczycy byli uznawani w tym środowisku za złych Polaków, a w najlepszym razie podrzędnej kategorii.

Obydwaj synowie ciotki Antoniny, Jan i Edward, uważali swego najstarszego brata, nieżyjącego już Kazimierza, za wyrodka, ponieważ poszedł do Legionów, nabawił się tam gruźlicy i młodo umarł. Ta śmierć zwiększyła jeszcze ich nienawiść do Piłsudskiego. Bliskim przyjacielem całej rodziny, a przede wszystkim swego rówieśnika, dziadka, był Władysław Barwicki, stary dziwak, chodzący w czamarze i konfederatce. Uczeń Gersona, był niezłym portrecistą, malarzem uprawiającym głównie tematykę religijną, ale lubującym się także w obrazach alegorycznych, jak na przykład w scenie śmierci księdza Butkiewicza. Ręką krasnoarmiejca czy czekisty, mierzącego do księdza, kierował uśmiechnięty Żyd w jarmułce. Antysemityzm łączył się organicznie z postawą ideową endeków. Jeden z moich kuzynów należał do istniejącej przed zamachem majowym prawicowej organizacji „Straż Narodowa”, która odznaczyła się rozbijaniem wieców socjalistycznych i pochodów pierwszomajowych. Z robotnikami lubelskimi zaczynać było niezdrowo, więc skrupiło się wszystko na Żydach.

Barwickiemu największą sławę wśród miejscowej endecji przyniósł obraz, starannie ukrywany przed policją, przedstawiający „męczeńską” śmierć zabójcy prezydenta Narutowicza. Mordercą Niewiadomskiego był Piłsudski, występujący w czerwonym stroju błazna. Piękna dziewczina, symbolizująca Polskę, składała u stóp Niewiadomskiego wiązankę kwiatów. Poza tym Barwicki był człowiekiem łagodnym, z tych co by, jak mówi przysłowie, muchy nie uszkodzili.

Matka opowiedziała mi zabawną anegdotę dotyczącą jej ojca, Edwarda. Zdarzyło się wszystko jeszcze przed drugą wojną światową. Malując freski w kościele Świętego Ducha Barwicki sportretował mego dziadka, a swego serdecznego przyjaciela, jako świętego Piotra. Stary miał stałe miejsce w stallach naprzeciw wielkiego ołtarza i nie znosił, gdy mu ktoś tam włożył. Gdy któregoś dnia zastał tam kilka starych dewotek, zdenerwowany, zaczął je wypędzać, grożąc im sękatym kijem. Jedna z dewotek spojrzała na niego, później na fresk i zawołała w przerażeniu: „O Jezu, święty Pieter mnie bije!”. Barwicki przyjaźnił się z młodopolskim, czy raczej postromantycznym poetą, autorem Królewskiej pieśni, Kazimierzem Glińskim, i w tajemnicy przed wszystkimi pisywał kiepskie wiersze, które mnie jednak pokazywał. Nie pamiętam już, czy dożył do wybuchu drugiej wojny światowej. Jeżeli nawet, to w każdym razie jej nie przeżył.

Wspomniałem, że moja siostra wyszła za mąż za wysokiego urzędnika z Dyrekcji Poczty i Telegrafów. Eugeniusz Tomanek był owym ćwierć-Węgrem ze Lwowa, nazywanym przez naszych endeckich kuzynów „Galileuszem”. Umarł w kilka lat po ślubie, zostawiając młodą wdowę i dwuletniego synka. Wraz z matką przenieśliśmy się do mieszkania zmarłego i tam zastała całą rodzinę wojna. Mnie w tych ostatnich latach w Lublinie już nie było. Ale wróćmy do czasów gimnazjalnych. Początkowo byłem uczniem jeśli nie wzorowym, to jednak przykładnym, wybijając się wkrótce w przedmiotach humanistycznych, które stały w tym gimnazjum matematyczno-przyrodniczym bardzo wysoko, dzięki świetnym, wręcz wyjątkowym

profesorom.

Polonistą był Wielkopolanin, bodaj poznaniak, Paweł Gdula, zwany pieszczotliwie „Pawełkiem”, profesorem historii kijowianin, Stanisław Horyszewski. Byłem ich ulubionym uczniem, chociaż często swoim gwałtownym postępowaniem doprowadzałem do scysji. Był jeszcze doskonały geograf, Nalepa, ten znowu z Galicji, tak że wszystkie trzy zabory były reprezentowane. Ale Nalepa w starszych klasach już nie wykładał. Fizykę, chemię i matematykę przestałem ostatecznie uznawać już w siódmej klasie. Gdy matka szła na kolejną wywiadówkę, uprzedziłem ją: „Niech mama się nie zdziwi, jeżeli będę miał niedostateczny z matematyki. Nie mam na nią czasu, muszę dużo czytać, zostanę pisarzem, po co mi matematyka?”. Najbardziej zdziwiony był matematyk, Bogucki, nazywany popularnie, nie mam pojęcia dlaczego, „Rułą”. „Nie wiem co się stało — powiedział do matki — pani syn był zawsze dobrym uczniem, teraz coś się psuje. Wyjątkowo postawiłem mu dostatecznie, za dawne zasługi. I w nadziei, że się poprawi”. Niestety, nie poprawiło się aż do końca.

W siódmej klasie, do której przepchałem się z wielkim trudem, zaczęła się moja kariera literacka i teatralna. Inicjatorem wydawania szkolnego czasopisma był nasz polonista, wspomniany powyżej profesor Paweł Gdula. Zwracając zeszyty z klasówkami często mówił: „Łobodowskiemu nie postawiłem żadnego stopnia, bo musiałbym wszystkim innym obniżyć”. A gdy o *Balladynie* napisałem, że Słowacki sięgnął po temat nietzscheański, wyprzedzając literaturę na wiele lat, Gdula uznał, że moje wypracowanie jest na poziomie uniwersyteckim i również stopnia nie wystawił. „Bo gdybym mu dał celujący, nikt by nie otrzymał dostatecznego”. Wyrzucono mnie jednak, bo przestałem w ogóle pokazywać się na niektórych lekcjach. Przychodziłem do klasy i pytałem kolegów, jaka jest pierwsza lekcja. Jeśli matematyka albo fizyka, szedłem na wagary i wracałem po godzinie albo dwóch. Nie mogło się to oczywiście podobać, choćby ze względu na zły przykład dla innych kolegów. Uznałem lojalnie, że wyrok był słuszny i od razu zacząłem pracować na poczcie, gdzie już uprzednio brałem zastępstwa w czasie wakacji.

Później jednak dyrektorowi, księdzu szambelanowi Kazimierzowi Gostyńskiemu zrobiło się żal i zaproponował mi powrót. Zgodziłem się pod naciskiem matki ulegając także namowom profesorów i kolegów. Ale postawiłem warunek: „Muszę dostać korepetycje, bo już się przyzwyczailem do posiadania pieniędzy”. (Od kilku miesięcy pracowałem na poczcie, a później w telegrafii.). Warunek został przyjęty. Korepetycji dostałem mnóstwo, tak że ledwie mogłem nadażyć. Wróciłem — byłem już wtedy autorem pierwszego tomu wierszy, wydanego własnym nakładem.

Z maturą wynikła osobna sprawa. Można było mieć jedno niedostateczne na egzaminie pisemnym, ale trzeba było zły stopień poprawić na egzaminie ustnym. Poczciwy Bogucki „Ruła” — nie wiem, czy z własnej inicjatywy, czy przez kogoś namówiony — przyszedł mi z pomocą. Wezwał mnie do siebie i powiedział: „Wiem, że Łobodowski nie lubi korzystać ze ściągawek, więc znowu Bóg wie co nam powypisuje w wypracowaniu pisemnym. Umówmy się: Łobodowski ma dobrą pamięć, proszę się nauczyć wszystkich wzorów algebraicznych, geometrycznych i trygonometrycznych, ale wszystkich bez żadnego wyjątku. O nic innego pytać nie będę”.

Tak się i stało. Spędziłem na starym cmentarzu przy ulicy Lipowej kilka nocy i wykułem owe wzory na sto dwa. Dlaczego właśnie na cmentarzu? To dłuższa historia i żeby ją opowiedzieć, muszę się cofnąć o kilka lat. Po powrocie z Kaukazu miałem w oczach straszne sceny, byłem świadkiem egzekucji z jednej i z drugiej strony: Kozacy wieszali czerwonych, potem czerwoni rozstrzelili białych i Kozaków. Po nocach śniły mi się okrwawione trupy, bałem się wejść sam do ciemnego pokoju. Aż któregoś dnia poszedłem z matką odwiedzić grób mego dziadka, zmarłego w 1918 roku. Po drodze przechodziliśmy koło dużego, ozdobnego mauzoleum w stylu gotyckim. „W 1863 — powiedziała matka — w tym wspólnym grobie rodzinnym mój ojciec, a twój dziadek spędził kilka nocy, zanim przyjaciele załatwili mu ucieczkę do Galicji”. „A dlaczego się ukrywał?” „Bo go poszukiwała rosyjska żandarmeria, jako podejrzanego o udział w powstaniu”. „I tam spał?” „Naturalnie. Między trumnami. Przyjaciele przynosili mu żywność i wodę do picia”.

Zastanowiłem się. Mój dziadek nie bał się spać na cmentarzu między trumnami, a ja się boję wejść do ciemnego pokoju... Wstyd! Trzeba się przemóc. Postanowiłem pójść w nocy na cmentarz. Za pierwszym razem bałem się potwornie, potem szło nieraz lepiej. I właśnie tych wzorów uczyłem się siedząc na ławeczce przy grobie mego dziadka. Było to w maju, księżyc był w pełni, na cmentarzu widno jak w dzień. Koło grobu rosły jaśminy, a w nich było mnóstwo słowiczych gniazd. Darły się te słowiki przez całą noc, jak oszalałe. Nie pamiętam już, czy to trwało trzy noce, czy cztery, ale opanowałem owe wzory dokładnie i egzamin wypadł pierwszorzędnie. Matura została zdana bez większych przeszkód.

Już wtedy mówiono, że stary cmentarz zostanie wkrótce zamknięty. Moja matka bardzo się tego obawiała i zawsze mnie i córce nakazywała: „Kiedy umrę, zróbcie tak, aby mnie pochowano na starym cmentarzu. Nie chcę leżeć gdzie indziej”. Umarła, gdy jej brakowało do stu lat zaledwie parę miesięcy. Cmentarz był już, oczywiście, od dawna zamknięty. Ale jej życzeniu stało się zadość. Stary urzędnik wygrzebał papiery z roku 1918, z których wynikało, że dziadek leży w podwójnym grobie, o czym nikt nie pamiętał. Znalazło się więc miejsce dla trumny mojej matki i spoczywa w tym samym grobie, przy którym siadywałem przez przeszło pięćdziesięć laty, w noc majową, przesycone upajającą wonią jaśminów i śpiewem oszalałych słowików. Widziałem ją ostatni raz w końcu sierpnia 1939 roku, gdy wyjeżdżałem do Warszawy, gdzie z miejsca zostałem zmobilizowany. Po kampanii wrześniowej i przejściu na Węgry do kraju już nie wróciłem.

Gdy żegnałem się z matką 28 sierpnia, zapytała mnie, czy dojdzie do wojny. Odpowiedziałem, że na to się zanosi. „Przeżyłam trzy wojny — odpowiedziała — następnej już nie przeżyję”. Przeżyła i umarła przeszło trzydzieści lat po jej zakończeniu. Dochowała się prawnuków. Wiedząc, że o moim powrocie długo nie będzie mowy, a może nawet nigdy za życia nie powrócę, chciałem pójść do kraju nielegalnie, jeszcze podczas wojny i po niej. Zawsze coś stawało na przeszkodzie. Może to i lepiej, bo gdybym wpadł, czy to w ręce gestapo, czy bezpieki, zapewne już bym nie żył. Zatrulbym jej ostatnie lata życia. A tak umarła wiedząc, że żyję, jestem w bezpiecznym miejscu, nic mi nie grozi, mam się nieźle finansowo. Wtedy istotnie tak było, później się pogorszyło. Czy kiedykolwiek mogłem się domyślać, że jako stary, dojrzały pisarz będę zarabiał znacznie mniej niż za szczeniackich lat?! Prosiłem znajomych w Madrycie, aby mnie po śmierci spalili w krematorium i prochy posłali do Lublina. Chcę, by zostały pochowane u stóp mojej matki na

lubelskim cmentarzu. I nie jest to żadna sentymentalna fanaberia...

Ustalił się taki zwyczaj, że każda szkoła lubelska — a były cztery gimnazja męskie i aż osiem pensji żeńskich, nie licząc gimnazjum żydowskiego, które było koedukacyjne, szkoły ogrodniczej i dwóch seminariów — musiała przynajmniej raz w roku wystąpić z przedstawieniem teatralnym. Od obowiązku tego były zwolnione jedynie urszulanki i kanoniczki. Zazwyczaj chodziło o program mieszany. Występy chóru, deklamacje, gra na fortepianie, jakaś jednoaktówka, na przykład nieśmiertelne Kalosze Fredry (tego młodszego). Zajmowała się tym klasa siódma, bo ośmioklasiści mieli myśleć wyłącznie o maturze. Gdy doszedłem do siódmej klasy i zostałem mianowany przez kolegów „dyrektorem” szkolnego teatru, postanowiłem dokonać rewolucji i sięgnąć do wielkiego repertuaru. Na początek wybrałem *Cyrano de Bergerac* Edmonda Rostanda.

Na siebie wziąłem główną rolę, Roksana była arcyszanka Zosia Grassówna, jej mężem, który w czwartym akcie poległ w bitwie pod Arras, przystojny Czesław Stefański, niezły malarz, podczas wojny jeniec niemiecki, zmarły później stosunkowo młodo w Niemczech Zachodnich. Lublin sztubacki przyjął wiadomość, że wystawiamy Rostanda, z niedowierzaniem: „Na co oni się porywają!” Ale poszło wszystko jak z płatka. Dowiedziawszy się z prasy, że Teatr Polski w Poznaniu wystawił właśnie *Cyrana*, poprosiłem księdza Gostyńskiego o trzy dni urlopu i pojechałem do Poznania, aby się przyjrzyć przedstawieniu. Gostyński — zamęczony później przez Niemców w Dachau — przychylił się do mojej prośby, wielce dumny, że w jego gimnazjum dzieją się takie rzeczy. Gdy w dwadzieścia kilka lat po premierze byłem po raz pierwszy w Londynie, zatelefonowano do mnie a i kobiecy głos się przedstawił: „Tu siostra Klara”. W pierwszej chwili nie mogłem się połapać, o co chodzi. Rzecz w tym, że w ostatnim, piątym akcie sztuki, w klasztorze, gdzie zamknęła się gorzka wdowa, Roksana, występują trzy zakonnice: przeorysza i siostry Klara i Marta. Klarę grała w lubelskim szkolnym teatrze Zosia Liliensternówna i to właśnie ona odezwała się w londyńskim telefonie. Spotkałem się z nią i opowiedziała mi swoje dzieje. Wywieziona w roku 1940 na Sybir, dostała się po uwolnieniu na mocy osławionej „amnestii” do Anglii, topiła się po storpedowaniu okrętu, którym płynęła, i uratowana wyszła za mąż za wysokiego oficera angielskiego lotnictwa. Podobno już owdowiała. W Londynie mieszkała także — zapewne mieszka po dziś dzień — przeorysza z tegoż piątego aktu, Marysia Górnicka, najpiękniejsza w Lublinie panna z lat mojej młodości.

A później wystawiliśmy *Mazepę* Słowackiego i *Damy i huzary* Fredry. Skutek był natychmiastowy. Wszystkie gimnazja poszły za naszym przykładem i zaczęły wystawiać sztuki z wielkiego repertuaru. Więc arcyszanki — *Odprawę posłów greckich*, unitki — *Skapca* Moliera (zaproszony przez panny, grałem Harpagona), gimnazjum Staszica — *Warszawiankę*, „Szkoła Lubelska” — *Pana Jowialskiego*. Teatralny Lublin dał z czasem dobrego zawodowego aktora, Józefa Małgorzewskiego, który grał także w niektórych filmach, na przykład w *Młodym lesie*. Szkoda, że w historii szkoły imienia hetmana Jana Zamoyskiego, wydanej w kraju przed kilku laty, nie ma o naszej działalności teatralnej najmniejszej wzmianki. Za to znalazło się sporo miejsca na omówienie miesięcznika literackiego „W słońce”, którego byłem pierwszym redaktorem.

Jak wspominałem, inicjatorem był nasz polonista, Paweł Gdula, wiedząc, że w starszych klasach jest — prócz mnie — sporo piszących. Był jeszcze Stefan Kunowski, popularnie zwany „Kundysem”, który przeszedł do nas z Handlówki Vettera. Nie wiem, co się z nim działo podczas wojny. Po wojnie i ukończeniu uniwersytetu został profesorem filozofii na KUL; wierszy już wtedy nie pisał. Informowano mnie ostatnio, że nie żyje. Inny zdolny chłopak, Sokołowski, zginął jeszcze w siódmej klasie, po zderzeniu się na rowerze z taksówką na Krakowskim Przedmieściu w Lublinie. Z moich kolegów szkolnych żyje, zdaje się, tylko czterech: malarze i graficy Jan Samuel Miklaszewski w Warszawie i Witold Chomicz w Krakowie. Dwaj pozostali znajdują się na Zachodzie. W jesieni 1977 roku, będąc w Kanadzie, spotkałem Janka Podkowę, chłopskiego syna ze wsi podlubelskiej. Reszta wyginęła podczas wojny lub umarła. O niektórych dowiedziałem się różnych rzeczy przypadkowo. Na przykład o Henryku Dondze, dobrym karykaturzyście i niezłym rzeźbiarzu. Wypuszczony z sowieckiego łagru umarł zaraz po wyjściu na wolność. Nie zdążył nawet zjeść kromki chleba, o którą prosił. Umarł ze skrajnego wycieńczenia.

Tytuł miesięcznika „W słońce”, nie bardzo mi się podobał. Wiele było projektów. Gdula więc postanowił sprawę załatwić na drodze demokratycznego głosowania i przeszedł ten okropny, moim zdaniem, tytuł. Demokratycznej większości trudno się było sprzeciwić. Redagowanie miesięcznika z miejsca narobiło mi zajadłych wrogów, gdyż, ponoszony temperamentem i przekonany o własnych racjach, nie liczyłem się z niczym i nikim. Pisywałem artykuły na różne tematy, drukowałem wiersze i przekłady. Zacząłem używać pseudonimów, aby moje nazwisko nie powtarzało się za często. Opinie były różne, a najbardziej rozpowszechniona: czy wyrobi się z niego prawdziwy poeta, to dopiero czas pokaże, ale już widać, że będzie z niego eseista i publicysta. Byłem wtedy osiemnastoletnim redaktorem, miałem przed sobą wiele czasu. Wspominam tamte lata jak gdyby były osnute mgłą. Prawie nikt z ludzi, z którymi wówczas obcowałem, nie żyje.

Maturę zdałem w roku 1931, gdy miałem dwadzieścia dwa lata. O przyczynach tak wielkiego opóźnienia pisałem powyżej. Miałem już wtedy za sobą dwa tomy wierszy. Pierwszy z nich posłałem Julianowi Tuwimowi z prośbą o opinię. Odpowiedź była równie lakoniczna, jak wymowna. „Za dużo w tomie wierszy, za dużo w wierszach słów, ale są i bardzo dobre (*Atawizm*)”. Nie miałem tamtych pierwocin w rękach od tylu lat, nie pamiętam treści owego *Atawizmu*. Trzeci z kolei tom *O czerwonej krwi*, został skonfiskowany. Endecka opinia miasta z miejsca uznała mnie za komunistę, podejrzewając, że pieniądze na wydanie książki dostałem od partyjnych Żydów. „Żydokomuna” była słowem załatwiającym wszelkie wątpliwości. Po wielu latach opisałem owe czasy w moich, na emigracji pisanych powieściach — *Czerwona wiosna* i *Terminatorzy rewolucji*. Niewątpliwie wykorzystałem tam sporo moich doświadczeń osobistych, ale wbrew pozorom nie są to powieści stuprocentowo autobiograficzne.

Konfiskata pociągnęła za sobą wydalenie z Uniwersytetu Lubelskiego, na który wstąpiłem ni stąd ni zowąd na wydział prawny. Powód był ściśle materialny — nie chciałem tracić emerytury po ojcu. Było tego bardzo niewiele, ale miało swoje znaczenie. Uprzednio, zanim zacząłem zarabiać korepetycjami, rzadko kiedy miałem w kieszeni kilka wolnych groszy. Wraz z doświadczeniami kaukaskimi spowodowało to u mnie wielką drażliwość na niedostatek i ludzką nędzę. W pierwszych latach w Polsce rzadko kiedy

miewałem pieniądze na kino albo na zakupienie biletu na mecz piłki nożnej. Boisko „Lublinianki” otwierało się dla takich jak ja dopiero po przerwie w meczu, gdy puszczano publiczność bezpłatnie. Trzeba było czekać prawie przez godzinę przed boiskiem. Do kina chadzałem dwa - trzy razy do roku, przeważnie gdy siostra Dziunia dawała mi kilka złotych. Czułem się upokorzony w stosunku do kolegów, którzy na taki niedostatek nigdy nie cierpieli.

Gdy przysłała konfiskata, pracowałem na poczcie, a poza tym dorabiałem korepetycjami, które prawie z miejsca potraciłem. Na rozprawie sądowej w okręgówce lubelskiej dostałem dwa i pół roku z zawieszeniem na pięć lat. Prokurator apelował, także mój obrońca i w wyniku apelacji obniżono mi wyrok do dwóch lat, ale jego wykonanie odwieszono. Konrad Bielski, który mnie bronił za „Bóg zapłać”, zgłosił odwołanie do Sądu Najwyższego w Warszawie, a tam zajął się mną adwokat i zarazem krytyk literacki, Emil Breiter, zamordowany później, jako Żyd, przez hitlerowców. Sąd apelacyjny w Lublinie popełnił kardynalny błąd, uznał w uzasadnieniu wyroku, że moje wiersze nie mają rymu ani sensu. Breiter po zaznajomieniu się z tym głupim uzasadnieniem zatarł ręce i powiedział: „Panie, sprawa wygrana!”. Istotnie, po przeczytaniu na rozprawie paru fragmentów okazało się, że mają rymy i sens. „Jakże można skazywać kogoś za wiersze pozbawione sensu?”. Sąd Najwyższy uznał, że widocznie sędziowie lubelscy temu w ogóle nie czytali, wyrok skasował i przekazał sprawę do ponownego rozpatrzenia sądowi apelacyjnemu w Warszawie. Uzasadnienie tej decyzji było dla sadowników lubelskich zabójcze: „Sąd Najwyższy uznał, że atmosfera, jaka wytworzyła się w Lublinie dokoła tej sprawy, nie daje gwarancji sprawiedliwego wyroku”.

W palestrę lubelską uderzył grom. Wszyscy wiedzieli, że nakład książki został po wyroku apelacyjnym zniszczony. Jeżeli apelacja warszawska przyniesie wyrok uniewinniający i zniesie konfiskatę, co wtedy? Jak wydać autorowi zniszczony nakład i kto będzie ponosił za to odpowiedzialność prawną? Oczywiście, poszły w ruch zakulisowe wpływy i apelacja warszawska skazała mnie na sześć miesięcy, darowanych na mocy amnestii, za „użycie nieprzyzwoitych słów”, w kilku wierszach. Skutek był taki, że wszystkie inne sprawy karne, na które zarobiłem w międzyczasie, zakończyły się wyrokami skazującymi z zawieszeniem. Sądy lubelskie nie chciały więcej ryzykować.

W tym czasie otrzymałem niespodziewanie wezwanie do odbycia służby wojskowej. Niespodziewanie, bo ze względów politycznych byłem nadliczbowym. A tu nagle jeden z poborowych zachorował i poszedł na operację do szpitala. Byłem pierwszy na liście nadliczbowych. Dowódca 44 Pułku Strzelców Kresowych w Równem na zwróconą mu uwagę o moich wyczynach politycznych, oświadczył: „Nic mnie nie obchodzi, co robił w cywilu. Osądzę go według zachowania się w podchorążówce”. I tak oto w ostatniej chwili otrzymałem wezwanie na kurs podchorążych przy 44 Pułku Strzelców Kresowych. Gdy przyszło owo wezwanie, nie było mnie w Lublinie, jeszcze nie zdążyłem wrócić po rozprawie w warszawskim Sądzie Najwyższym.

Początek nie był szczęśliwy, bo spóźniłem się do Równego o całe dwa dni. Dowiedziałem się od dowódcy, że „żołnierz, który się spóźnia, zasługuje na miano dezertera”. Po przeegzaminowaniu mnie z moich poglądów politycznych stwierdził, że nie mogę zostać oficerem rezerwy. Zapytałem skromnie: „To

po co mnie zmobilizowano?”, na co otrzymałem lakoniczną odpowiedź: „Po to, abyście nie zadawali głupich pytań!”. Stuknąłem przykładnie obcasami i zameldowałem przepisowo: „Na rozkaz, panie kapitanie”. Skład moich nowych kolegów był różny, ale większość pochodziła ze Lwowa i okolic. Było wśród nich paru tak zwanych galicyjskich „grenzgrafów”, czyli arystokratów z łaski cesarza austriackiego, jak Baworowski i inni. Szefem kompanii podchorążych był eks-Kozak doński, który w roku 1920 przeszedł ze swoją sotnią na polską stronę, pozostał następnie w kraju, przyjął katolicyzm i ożenił się z Polką. Był małego wzrostu, więc oddano go do szkoły podoficerów piechoty i z biegiem lat awansował do stopnia starszego sierżanta.

Dowódcą mojego plutonu był podporucznik Konstanty Kosiński, wielki służbista, o którym krążyły plotki, że ma skłonności sadystyczne. Wkrótce przeszedł z piechoty do lotnictwa, co stało się jego zgubą. Opowiadano mi, że po kampanii wrześniowej dostał się na Zachód i zginął w Battle of Britain. Nie miałem możliwości, by sprawdzić to osobiście. Gdzieś w listopadzie zmarł jeden z rekrutów z wykształceniem, jak nas nazywano. Zostało wdrożone śledztwo i na jego czas nastąpiła zmiana dowódcy kursu podchorążych. Dowódcą został kapitan dyplomowany Jarski, także wielki służbista, ale sprawiedliwy i odznaczający się dużą inteligencją, czego nie można było powiedzieć o jego poprzedniku. W rocznicę Powstania Listopadowego, gdy odbyła się przysięga rekrutów, miało odbyć się podchorążackie przedstawienie w sali największego równieńskiego kina. Byłem jego organizatorem.

Były popisy chóru, recytowałem Mochnackiego Lechonia i graliśmy kilka scen z *Kordiana*. Dostałem przedtem trzydniowy urlop, by pojechać do Lublina, przywieźć mundury podchorążych z 1831 roku, bo w Równem dostać ich nie było można. W Lublinie idę do znajomego Żyda, który miał kostiumernię, i ten mi mówi, że 28 pożyczyc mundurów nie może, bo już są zamówione na przedstawienie organizowane przez 8 Pułk Piechoty Legionów w Domu Żołnierza. Może je wypożyczyć dopiero następnego dnia z rana. Co tu robić? Poranny ekspres przychodzi do Równego po południu, a więc już po przysiędze. Więc jedno z dwojga; albo przyjadę na czas i z pustymi rękami, albo przywiozę kostiumy i spóźnię się na przysięgę. Wybrałem to drugie, bo jak tu pokazywać *Kordiana* we współczesnych mundurach?

A przedtem spóźniłem się już dwukrotnie: po raz pierwszy na samym początku i po raz drugi, gdy w październiku pojechałem do Lublina na kolejną rozprawę sądową. Wracam z kilkugodzinnym opóźnieniem, przychodzę na salę, gdzie właśnie odbywało się ćwiczenie z rozbieraniem erkaemu, melduję się. Kosiński pyta, jaki wyrok. Mówię, że rok więzienia z zawieszeniem na pięć lat. Za co? Wymieniam numer artykułu kodeksu karnego. „To mi nic nie mówi. Za co?”. „Za artykuł, w którym podburzałem żołnierzy do nieposłuszeństwa, w razie wybuchu wojny imperialistycznej”. „Łobodowski, wy wysoko skończycie”. „Tak jest, panie poruczniku!”. Podoficerowie przyglądali mi się z pobożnym przerażeniem. Nie rozumieli, jak to się dzieje, że taki zbrodniarz jak ja nie siedzi w ciężkim więzieniu.

Kosiński mimo wszystko mnie lubił. Pozwalałem sobie z nim na wiele. Wieczorem, po apelu, gdy już wszyscy byliśmy w łózkach, przychodził Kosiński sprawdzać kostki, czyli spodnie i owijacze, misternie ułożone na szafkach przed łózkami. „Czyja to kostka? Wy byście, Łobodowski, powinni mieszkać nie w koszarach, ale w burdelu”. „Czy mogę odpowiedzieć prywatnie?” — pytam spod koca. „Mówcie!”. „Ja

w burdelu nie miałbym nic do zrobienia, a pan porucznik tak. Nauczyłby pan kurwy zafajdane majtki układać w kostki”. Na sali nastąpiła śmiertelna cisza, a potem wybuch huraganowego śmiechu. Śmieli się nawet podoficerowie, którzy byli na służbie. Kosiński poczerwieniał, po czym powtórzył swoje nieśmiertelne: „Łobodowski, wy skończycie wysoko”, co miało znaczyć, że na szubienicy.

Kosiński dowiedział się, że często wychodzę na miasto bez przepustki i wracam bez żadnych przeszkód. Był szalenie ciekawy, jak ja to robię. Założył się ze mną o butelkę wódki, że mnie złapie przy najbliższej okazji. Warunek, że go uprzedzę, kiedy znowu pójdę. Nie złapał. Ale nie dawał za wygraną i zakładał się w dalszym ciągu. Wreszcie po trzeciej czy czwartej przegranej butelce poddał się: „Nie mogę więcej, pensji mi nie starczy na te zakłady. Ale powiedzcie, jak wy to robicie. Oficerskie słowo honoru, że was nie zdradzę”. Wobec tego powiedziałem. Warta przy bramie wyjściowej legitymowała wychodzących i wracających z przepustkami. Warta zaś przy bramie sąsiedniego, 45 Pułku, widziała okucia na daszku czapki, brała mnie, przy słabym oświetleniu wieczorem, za oficera i przepuszczała, salutując i o nic nie pytając. Wystarczyło przeleźć pod drutami kolczastymi, oddzielającymi tereny koszar obydwu pułków.

Historia ze spóźnieniem się na przysięgę skończyła się gładko. Kapitan Jarski przyznał mi rację, że zaczekałem na kostiumy. Przysięgałem w tydzień później wraz z prawosławnymi, ewangelikami i Żydami. Tyle że ksiądz katolicki musiał fatygować się dla jednego rekruta. W tym samym mniej więcej czasie napisałem hymn 44 Pułku, którego przedtem nie było. Stało się tak. Na porannej zbiórce Kosiński mnie wywołuje: „Łobodowski, wystąp. Wyście w cywilu byli podobno - poetą?”. „Tak jest, panie poruczniku”. „No, to wróćcie do koszar, zgłosicie się do szefa kompanii, powiedzcie, że to ode mnie, niech wam da broszurkę o historii pułku. Możecie to napisać jeszcze dziś?”. „Mogę, panie poruczniku. A słowa mam napisać do jakiej melodii?”. Zastanowił się. „Znacie hymn „czwartaków” z Powstania Listopadowego?”. „Znam, panie poruczniku!”. „To napiszcie na tę melodię. Odmaszerować!”.

Pułk był hallerowski, więc zacząłem od słów. „Z Francji dalekiej do ojczyzny progów...”, a kończyła się każda zwrotka refrenem: „U granic Polski sprawia czujne warty, z orężem w rękę pułk czterdziesty czwarty”. Nazajutrz podczas zbiórki pada pytanie: „Hymn jest?”. „Tak jest, panie poruczniku”. „Odśpiewać przed frontem plutonu!”. Odśpiewałem. Podobało się. „Dobrze było, Łobodowski!”. „Ku chwale ojczyzny, panie poruczniku!”. „Żeby mi na jutro cały pluton umiał tekst hymnu. A kto się nie nauczy, to mu pokażę taki kształt adwokacki, że mu się woda w jajach zagotuje!”. Słownik pana porucznika Kosińskiego odznaczał się dobitną malowniczością.

Po południu robiłem kopie hymnu i cały pluton gorliwie uczył się tekstu. Zapowiedziana perspektywa z ukropem nikomu się nie podobała. Nazajutrz cały pluton śpiewał niczym chór operowy.

Z wakacji bożonarodzeniowych spóźniłem się po raz czwarty. Szef kompanii, gdy mnie prowadził do raportu karnego, tryumfował: „Teraz już się wam nie uda”. Zapytany o powody spóźnienia, odpowiedziałem krótko: „Nieusprawiedliwiony”. Zwolniony od odpowiedzialności wyszedłem nie mniej zdziwiony niż szef kompanii, który rzucił teczkę z raportami na podłogę i zawołał, rozgoryczony: „Nie ma sprawiedliwości!”. Po paru tygodniach stało się to, o czym wolałbym przemilczeć. Ciekawych odsyłam do lektury

odpowiedniego fragmentu z *Zająca Trzynieńskiego* nieboszczki Kazimierzy Hłakowiczówny, która ten wypadek dość dokładnie opisała. Dość że, ponieważ w wojskowym szpitalu rówieńskim, nie mieli aparatu do prześwietlania, pojechałem do szpitala w Chełmie Lubelskim. Po powrocie przeniesiono mnie do 45 Pułku z pozbawieniem tytułu podchorążego. Otrzymuję zaproszenie do Warszawy na Najazd Awangardy Poetyckiej. Organizuje się Legion Młodych, honorowym prezesem jest Juliusz Kaden Bandrowski. Otrzymuje urlop od dowódcy kompanii i w przeddzień wyjazdu zostaję aresztowany. Powód wyspany z palca. Podobno prowadziłem w podchorążówce propagandę komunistyczną. I tak, zamiast do Warszawy, pojechałem pod eskortą do więzienia okręgowego w Lublinie.

Więzienie znajdowało się w starym klasztorze pokarmelikańskim przy głównym lubelskim targu. A w Warszawie na owym wieczorze poetyckim, na który nie dotarłem, Henryk Ładosz czytał moje wiersze. Wiersz *Piłsudski* zaczynał się od słów:

*Oto są ręce-młoty w zecerni, jak w kuźni,
krew się lepi, nie farba na czarnych literach,
towarzyszu Piłsudski, w trzydzieści lat później
Julian Blachowski zabije Gastona Koehlera.
Wiem: Litwa dzieciństwa jest wonią myrry i nardu,
ojczyzna kwitnie w pałacu białego cieniach,
ale gdzie podziąć się z sercem, gdy czarny wstanie
Żyrardów
i barykadą kamienną runie na progu sumienia?*

Według zgodnych świadczeń wielu obecnych wiersz zrobił na słuchaczach, zwłaszcza młodych, wielkie wrażenie. Sprawozdawczym czasopisma „Kobieta Współczesna”, Heymanówna, napisała w recenzji *Młodzież ma głos. Najazd awangardy na Warszawę*, co następuje: „Ale bezsprzecznie największe wrażenie wywiera *Piłsudski* Łobodowskiego w recytacji artysty (Henryka Ładosza)...

Zjazd odbył się w dniu 11 marca 1934 roku. Czesław Miłosz napisał po latach: Kogo tam nie było na tej estradzie przy ulicy Karowej: Przyboś i Piętaś, Łobodowski i Kurek, Zagórski i Miłosz, Czechowicz i Kamiński i tak dalej i tak dalej (zresztą naprawdę nie pamiętam, kto był). To bardzo dobrze, że się zjawilo to zastrzeżenie w nawiasie. Bo właśnie Łobodowskiego tam nie było.

Kto na pewno był na sali wśród słuchaczy, to ówczesny redaktor naczelny pryncypalnego dziennika „Gazeta Polska”, Ignacy Matuszewski, i osobista sekretarka Piłsudskiego, Kazimiera Hłakowiczówna. Także im ów wiersz się podobał. Stąd zainteresowanie nieobecnyim autorem. Nikt im nic konkretnego nie mógł powiedzieć. Poszła plotka, że jest w jakiejś karnej kompanii. Dopiero Czechowicz, gdy wrócił z Warszawy do Lublina, dowiedział się od mojej matki co się stało i puścił wiadomość dalej. Poszły w ruch telefony. Protekcja takich osób jak Hłakowiczówna i Matuszewski to nie było byle co. Dowódca OK Lublin, generał

Dobrodzicki, znalazł się w kłopotcie, aż zostało znalezione dogodne wyjście z sytuacji. Prokurator wojskowy jeszcze nie napisał aktu oskarżenia. Wobec tego zostałem usunięty ze służby wojskowej na owe pięć lat zawieszenia wyroków politycznych. Wyszędłem z więzienia, sprawa została przekazana do sądu cywilnego w Łucku i ten ją umorzył, do czego, jak się dowiedziałem, przysłużył się właśnie Matuszewski. Była wczesna wiosna 1934 roku.